

Janusz Dunin

Literatura - natura - rynek

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 3 (27), 137-144

1994

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Janusz Dunin

Literatura — natura — rynek

Przez literaturę będziemy rozumieli to, co zgodnie z etymologią zapisano literami i co może stanowić materiał do czytania. Publikacja nie jest przedmiotem „przezroczystym”, przez który patrzymy na tekst, ale jest wielostronnie semiotycznie naznaczona — jej cechy mogą w pełni ingerować w proces czytania. Nim zaczniemy lekturę, odczytujemy książkę, w określony sposób ukierunkowującą oczekiwanie odbiorcy.

Czytelnika, który przeszedł dłuższy trening szkolny, a często i uniwersytecki, uczono, by przy lekturze zwracał uwagę na osobę autora i tekst dzieła i aby potrafił pominąć całą zewnętrzną stronę druku — jak opakowanie, które trzeba odrzucić. Ten sposób kontaktowania się ze światem publikacji jest dominujący (może poza wąskim gronem tzw. bibliofilów) wśród ludzi wykształconych, zwłaszcza filologów. Jeśli jednak będziemy chcieli powiedzieć coś o wszystkich czytelnikach, również odbiorcach tzw. obiegów niższych, a szczególnie publikacji dziecięcych, sprawa okaże się bardziej skomplikowana.

Powtórzmy powszechny pogląd — ludzie czytają, ponieważ albo potrzebują informacji, np. do wykonywania zawodu czy konstruowania czegośkolwiek, albo szukają tzw. lektury autotelicznej, z której czerpią satysfakcję, niezależnie od ewentualnych pożytków, jakie z tego faktu mogą płynąć (choć wolno twierdzić, że w ten sposób wzbogacają swój

język, czegoś tam się dowiadują, rozbudowują świat własnych przeżyć, a wreszcie — ćwiczą się w ściśle technicznej sprawności czytania, która jest przydatna w ludzkiej wspólnocie, choćby dla kontaktów z komputerem).

W próbie klasyfikacji aktów czytelnicych na funkcjonalne i autoteliczne tkwi jednak terminologiczna pułapka — można by wbrew oczywistości mniemać, że np. piśmiennictwo ściśle rozrywkowe nie spełnia żadnej funkcji, a to jest oczywistą nieprawdą.

Przy próbie określenia miejsca, jakie w życiu naszego gatunku zajmuje czytanie, przydatne może być pojęcie natury ludzkiej. Są dwa różne jego rozumienia: jedno, dogmatyczne, wzorem upartych zjadaczy korzonków określa z góry, co jest dla człowieka naturalne, i za wszelką cenę chce siebie i bliźnich w tej normie zmieścić, ale jest i inne, podsuwają je takie nauki jak etologia i pokrewna jej socjobiologia. Nauki te traktują człowieka jako gatunek ssaka, w którym wytworzyły się cechy fizyczne i psychiczne pociągające za sobą określone potrzeby, powodujące dążenie jednostek i grup ludzkich do tego, by je zaspokajać. Obserwując zachowanie różnych zwierząt łatwo stwierdzić, że w większym lub mniejszym stopniu jest ono plastyczne. Można np., poprzez zmianę warunków w ogrodzie zoologicznym, poprzez tresurę lub w wyniku manipulacji genetycznej spowodować daleko idące odstępstwa od przyjętego sposobu życia i upodobań poszczególnych egzemplarzy. Ta plastyczność w gatunku ludzkim jest oczywiście znacznie większa, zarówno ze względu na dłuższy proces wychowania, jak i na to, że dawno odeszliśmy od naturalnego bytowania, wchodząc w najrozmaitsze środowiska i dokonując nie tylko w nich, ale i w sobie nieustannych zmian. Dziś często oskarża się pewne działania ludzkie o to, że są „nienaturalne”, jeśli próbują zastąpić utrwalone już nawyki.

Można jednak poprzez obserwację gatunku ludzkiego dojść do określenia katalogu skłonności ludzkich, które odczuwamy jako silniej lub słabiej zarysowane potrzeby. Mogą one być w poszczególnych wypadkach wypierane przez inne, lub znajdować swoje ujście i zaspokojenie w zdumiewających formach. Etologia i biosocjologia, wywodzące się z nauk przyrodniczych, zastanawiają się nad genetycznym i ewolucyjnym uwarunkowaniem cech ludzkich. Przejmując od biologów czy zoologów metody opisu skłonności gatunkowych, humanista musi jednak zrezygnować z orzekania o ewentualnej genezie i substracie ludzkich potrzeb i postaw, wolno mu przyjąć, że są „dane z góry”,

wystarczy stwierdzić, że istnieje wśród nas nie tylko skłonność do agresji, ale i do miłości oraz solidarności, troska o dzieci, potrzeby twórcze, gotowość uznawania hierarchii, terytorializm, ciekawość świata, skłonność do zabawy, do przyozdabiania siebie i swego domu i wiele innych często sprzecznych ze sobą dążeń.

Wolno postawić pytanie, jakie miejsce w świetle tych ludzkich skłonności zajmuje lektura, a także jaki jest pożytek z literatury.

Od czasu Platona przynajmniej przewija się myśl, że czytanie wypacza to, co jest istotne w kontakcie międzyludzkim, kończy dialog mistrza z uczniem, degeneruje kulturę przez jej racjonalizację, a na myśli nakłada pęta linearności. Zapewne też nie ostatni z przewidujących koniec pisanego świata był Marshall MacLuhan.

Sam proces pisanie/czytanie, odrywający czynność nadania komunikatu od jego odbioru, stanowi jedną z najważniejszych technik kultury.

Ze znanych sposobów komunikacji słownej ciche czytanie jest najwydajniejsze. Badacze twierdzą, że mówca czy lektor są w stanie przekazać około 9 tysięcy słów na godzinę, doświadczony czytelnik recytuje ich około 27 tysięcy, a sprawne czytanie może odbywać się jakoby dwa razy szybciej. Wolno też przyjąć, że piszący produkuje tekst bardziej przemyślany, oczyszczony ze znacznej części pomyłek, przejęzyczeń, powtórzeń.

Odkryta gdzieś przed sześciu tysiącami lat sztuka pisania/czytania rozwijała się i doskonalila. Specjaliści twierdzą, że dopiero mniej więcej od połowy XVIII wieku ludzie zaczęli korzystać z druków w taki sam sposób, jak my to robimy dzisiaj.

Piśmiennictwo w takim ujęciu staje się artefaktem – przedmiotem materialnym, który zaczyna istnieć i funkcjonować poza osobą piszącego. Piszący ma zwykle niewielki wpływ na to, jaki użytek z jego pracy zostanie zrobiony. Tym mniejszy, im dalej w czasie i przestrzeni pozostaje od swoich czytelników. (Mamy świadomość, że uznanie dzieła literackiego za artefakt i porównanie go z innymi produktami inteligencji i rąk ludzkich jest sprzeczne z przekonaniem wielu teoretyków, z Romanem Ingardenem na czele.)

Analizę dzieła piśmienniczego można prowadzić z dwóch punktów widzenia: 1) dlaczego ktoś je tworzy; 2) dlaczego ktoś je czyta, nabywa. Piszący może, poza próbą wspomnienia własnej pamięci, mieć na celu zaspokojenie kilku różnych skłonności, które dałoby się uznać za naturalne, choć w różnym stopniu obdarzono nimi ludzkie jednostki.

Po pierwsze — skłonność do ekspresji, wygadania się. Słowo pisane jako wyraz osobowości może być też działaniem kompensacyjnym. Drugim, poważnym motywem jest ludzka zdolność twórcza — budujemy domy, maszyny, konstrukcje, przeżywamy radość, kiedy uda nam się urządzić mieszkanie, wyhodować kwiat lub wyhodować zwierzę. Już dzieci z cierpliwością i pasją potrafią pracować nad swymi zamkami z piasku. We współczesnym świecie, w którym wielu ludzi jest pozbawionych możliwości stworzenia czegoś własnego i trwałego, działalność w dziedzinie sztuki przyciąga wielu. Skomponowanie wiersza, powieści, pamiętnika, czy rozprawy stanowi również jedną z możliwości zaspokojenia potrzeby twórczej. Trzecim, równie głębokim ludzkim powodem, dla którego chwytamy za pióro lub siadamy przy komputerze, aby wyprodukować tekst, jest zamiłowanie do walki konkurencyjnej, do gry o prestiż. I wreszcie, istnieje nadzieja wejścia ze swoim tekstem na rynek, zrobienie z niego towaru, za który autor otrzyma gratyfikację, nie zawsze zresztą wyrażoną w pieniądzach — mogą to być pochwały, zaproszenia do lepszego towarzystwa, nagrody, tytuły i stanowiska. Na rynku tekst występuje zawsze w formie uprzedmiotowionej, może zostać sprzedany w tysiącach egzemplarzy lub zauważony przez mecenasa. Odtąd autor ma szansę stać się pisarzem zawodowym, który wie, że oczekuje się od niego corocznej produkcji określonej liczby tekstów. Przez doświadczenie zdobywa kwalifikacje, pozwalające mu utrzymać się w tym rzemiośle.

Wiele utworów, z różnych powodów, pozostaje własnością tylko ich twórcy. Jednak typowym zjawiskiem jest tu przekazanie komuś materialnej formy tekstu w przekonaniu, że otrzyma się coś w zamian, choćby odpowiedź na wysłany list.

Słowo pisane staje się nie tylko ulotnym komunikatem, ale zaczyna uczestniczyć w tak bardzo ludzkiej wymianie dóbr materialnych. Tekst napisany pozostaje zawsze, zarówno wobec nadawcy, jak i odbiorcy, czymś zewnętrznym. Jeden z angielskich psychologów, D. W. Harding, zwracał uwagę, że nadużyciem jest mówienie o pełnej identyfikacji czytającego np. z bohaterem literackim. Jeśli nie mamy do czynienia z psychopatią, w której jest możliwe utożsamienie się z Napoleonem, to zjawisko odbioru literatury można przyrównać do obserwacji wydarzeń na ulicy, czy z okna. Jeśli nagły deszcz złapał przechodniów, to obserwator może zrozumieć ich uczucia, przeżywać emocje wtedy, gdy ów wypadek spotkał kogoś, kogo pokochał; nie będzie jednak w tej chwili rozkładał parasola nad swoją głową.

Jeśli autor osobiście zabiega o doręczenie komuś swego tekstu lub – tym bardziej – o jego druk, to niezależnie od jego deklarowanych intencji można przyjąć, że tworząc miał na uwadze czytelnika. Jednak nie tylko intencja autora decyduje o tym, czy pisany utwór przemieni się (w określonym miejscu i czasie) w materialny przedmiot – w publikację pozwalającą na jej rozpowszechnienie, stworzenie zań towaru. Utwory pisane mogą ożywać po latach, po śmierci autora, pojawiać się w dalekich krajach, częstokroć w wersjach niezgodnych z intencją pisarza, nawet wbrew jego woli. Prywatne listy, dzienniki itp. stają się również towarem, ale w każdym takim wypadku musi istnieć jakiś „edytor” – człowiek lub grupa, uznający, że utwór warto lub trzeba rozpowszechnić, że przyniesie to pewien pożytek materialny, prestiżowy lub ideowy – ktoś, kto za to zapłacił. Tym edytorem, wierzącym w celowość publikacji, niekiedy również tym płacącym, bywa sam autor. Każdy tekst powielony ma swego adresata, zwykle wpisanego w formę druku, mniej lub bardziej tożsamego z przyszłym czytelnikiem, węższą lub szerszą grupą odbiorców. Najprostszym sposobem sprawdzenia przez wytwórcę jakości towaru jest założenie, że istnieją ludzie doń podobni. Jeśli jest zadowolony ze swego wytworu, to innym też musi przypaść on do gustu – stolarz, który zrobił krzesło może na nim usiąść i powiedzieć: „to jest wygodne”, i biorąc pod uwagę przeciętne wymiary człowieka i znane mu nawyki współczesnych – raczej się nie omyli. Literatura jednak tylko w części odwołuje się do pewnych ogólnoludzkich skłonności, jest bardziej wyczulona na to, co ludzi dzieli, i dlatego część piszących i wydających dzieła piśmiennicze konstruuje na podstawie potocznego doświadczenia, rzadziej badań, postać przyszłego odbiorcy. Twórcy dzieł dla dzieci, młodzieży, ludu itp. starają się obniżyć poziom intelektualny, zakładając z góry, że odbiorca ich produktu stoi od nich niżej i należy się doń dostosować. Możliwy jest też inny model, w którym wytwórca publikacji (a czasem i autor) wierzy, że przyszły odbiorca stoi odeń wyżej, wspina się wtedy na palce, aby mu dorównać. To problem części publikacji naukowych, np. rozpraw doktorskich i artykułów w renomowanych czasopismach. Możemy jednak przyjąć za typową sytuację, gdy autor i wydawca dają wyraz pogładowi, że odbiorcy są im podobni i wierzą zasadzie „jaki wieszcz, taki słuchacz”.

Jednym z ważnych dla piszącego i wydającego momentów będzie ta chwila, gdy ich wysiłek zaowocuje materialną formą, drukiem, czymś

co można trzymać w ręku. Myśl przybrała materialną formę, istnieje świadomość, że gdzieś są ludzie, być może jednostki, a może miliony, które sięgną po taki sam, ten właśnie, przedmiot. W tym oto momencie uprzedmiotowiony tekst staje się obiektem rynkowym: autor może brać udział w kampanii reklamowej, polemizować z krytykami i czytelnikami, słać listy do redakcji, ale w istocie już nie panuje nad rozpowszechnionym nakładem, nie wie jak naprawdę jego dzieło jest przyjmowane, częściej spotyka się ze zdawkową uprzejmością niż z merytoryczną próbą dyskusji.

Rynek literacki nie może być analizowany jako prosty proces kupna-sprzedazy, w którym za czytelniczą satysfakcję autor, wydawca, księgarz są gratyfikowani ekwiwalentem pieniężnym. Na tym rynku uczestniczy się na wiele sposobów i to, czym się płaci, nie zawsze jest pieniądzem. Rozważmy sytuację biblioteczną: biblioteka nabywa książkę, wobec której istnieje przypuszczenie, że znajdzie ona czytelnika. Czytelnik z kolei może korzystać z biblioteki bezpłatnie, ale nigdy darmo — podejmuje on trud dotarcia do księgozbioru (często przy tym płaci za przejazd), traci czas, wkłada wysiłek w szereg działań, wreszcie — wchodzi w skład społecznego lobby osób tworzących nacisk na społeczeństwo, by utrzymać biblioteki, w przekonaniu, że nie można w pełni zaspokajać potrzeb czytelniczych i wpływać na rozwój kultury, nauki itp., tylko w oparciu o prywatnie nabywane druki, a kupno wszystkich pozycji, które warto raz przeczytać lub tylko przejrzeć byłoby społecznym nonsensem. Podobnie można by rozważyć obrót książką w rodzinie, w środowisku przyjaciół, miejscu pracy, itp. Życie literackie warto rozpatrywać jako pewne *continuum* manipulacji przedmiotami, które zawierają teksty do odczytania. Proces ten znaczna część współczesnego społeczeństwa odczuwa jako potrzebę, której nie można w pełni zaspokoić w inny sposób. Istnieją próby określenia ilościowego czytającej publiczności. W wielkim uproszczeniu można przyjąć, że we współczesnej Europie obejmuje ona około 60 % dorosłej populacji. Jeśli wyłączymy osoby kontaktujące się tylko z prasą i sporadycznie sięgające po książki, to osób czytających nie mniej niż 6 książek rocznie jest prawdopodobnie około 30 %.

Nie łatwo jest jednoznacznie określić, jakie potrzeby zaspokaja gra z tekstem — czytanie. Mogą one być bardzo zróżnicowane, choć zapewne dałoby się je sprowadzić do tych, które w praspoleczeństwie realizowano wokół obozowego ogniska, słuchając nie tylko wio-

skowych gawędziarzy i magów, ale również aktualnych informacji o wynikach polowań i wypraw wojennych, planów działań, żartów i przekomarzań. Do dziś nie pozbyliśmy się, jako gatunek, zamięłowania do społecznego kontaktu słownego.

Charakterystyczne jest jednak, że znaczna większość czytelników – nie tylko dzieci i młodzież – podchodzi do druku jak do pewnego przedmiotu, który można nabyć lub wypożyczyć do określonego użytku, i nie interesuje ich w rzeczywistości ani kim był autor, ani co chciał naprawdę powiedzieć. Jak każdy kupiony towar ma on przede wszystkim spełnić swoją funkcję. Kupując jakąkolwiek użyteczną rzecz wiemy naturalnie, że ktoś musiał ją wymyślić, zaprojektować, wykonać. Dopiero na pewnym poziomie klient zwraca uwagę na pochodzenie towaru – kraj, nazwę i znak firmy. Dotyczy to również w znacznym stopniu kupujących dzieła sztuki. Wiele obrazów wiszących na ścianach domów nabyto dlatego, że spełniały warunek funkcjonalności – podobały się, pasowały do wnętrza. Dopiero na wąskim, elitarnym rynku płaci się za nazwisko: kupuje się w Polsce Picassa czy Kossaka, bilet na Kurosawę, czy Wajdę, nabywa suknię Chanel, czy Saint Laurenta. Nie inaczej jest z literaturą – większość kupuje przedmiot do lektury, wierząc, że zewnętrzny wygląd, kraj pochodzenia, firma produkująca czy sprzedająca gwarantują, że rzecz zrobiona jest fachowo. Wielu aktywnych czytelników nie potrafi wymieniść nazwisk autorów. Istnieje jednak na tym rynku pewna specyfika, bowiem – jak wspomnieliśmy – szkoła, w której większość z nas nabyła umiejętność czytania, prowadzi naukę kultury czytelniczej w sposób autorocentryczny. Ten proces nie przebiega bez oporów, dziecko i mniej wytrawny czytelnik są skłonni myśleć raczej w kategoriach tytułu, a nowe, przemysłowe metody produkowania publikacji ponownie usuwają autora w cień, zastępując go często nazwą firmy, serii itp. Wiele dzieł współczesnych piszą tzw. murzyny literaccy, a jako autor figuruje bohater tekstu.

Każdy utwór, zwłaszcza w formie drukowanej, jest pewnym zadaniem dla odbiorcy, zagadką, którą musi on rozwiązać na własną modłę. Zadanie to może być łatwe i przyjemne, jeśli np. bywało już kiedyś rozwiązywane, albo bardziej absorbujące, wymagające znajomości reguł gry literackiej. Niezależnie od tego, czy czytelnik się relaksuje, czy angażuje w pokonywanie intelektualnych barier, zaspokaja on swoje potrzeby (lub stara się spełnić oczekiwania otoczenia, rodziny, nauczycieli, przyjaciół).

Z toku naszego rozumowania może wynikać, że jeśli ktoś zdobył dostęp do publikacji, np. literackiej, i przeczytał ją z satysfakcją, to nie ma sensu zastanawiać się nad wartością tego aktu, po prostu dzieło spełniło swoje zadanie. Jeżeli natomiast konsekwentnie przyjmiemy sposób myślenia, który nazwaliśmy rynkowym, to musimy się zgodzić, że z natury człowieka, również jako nabywcy towaru, wynika, że świat nie może być ujmowany inaczej niż w kategoriach aksjologicznych. We wszystkim z czym mamy do czynienia — co konstruujemy, kupujemy, dostajemy — nie możemy unikać klasyfikacji na lepsze i gorsze. Na opinie wpływa nie tylko reklama. Publiczność, w tym również czytająca, ta najbardziej rozproszona, nie jest całkiem oderwana od kontekstu społecznego. Oceny lektur są przekazywane z ust do ust, w poszczególnych środowiskach pojawiają się osoby dominujące, których gusty stają się miarodajne dla mniejszych lub większych kręgów ich zwolenników. Ci, którzy przeżyli coś istotnego, pragną rozmowy z tymi, których kwalifikacje już znają, a którzy mają podobne doświadczenia. W ten sposób rodzi się krytyka literacka i hermeneutyka. Mogą istnieć różne gusty i różne potrzeby czytelnicze, znajdujemy w książkach treści trwale i wartości o znaczeniu przelotnym, ale dla ich oceny, pełnego spożytkowania i przeczycia, przydatna jest społeczna działalność, która ułatwia ustalenie hierarchii zjawisk literackich, bez której ten rodzaj sztuki — tak jak każda działalność ludzka nie poddawana ocenie — traci swój dynamizm. Współzycie jednostki z literaturą poza światem ocen i myśli innych, jeśli w ogóle możliwe, byłoby bardzo ubogie. Stąd też i znaczenie wyspecjalizowanych nauczycieli i krytyków, którzy wnoszą swoją myśl na literacki rynek i otrzymują w zamian gratyfikację—zapłatę. Choćbyśmy przyjęli za Hansem Gadamerem, że największe i najbardziej płodne osiągnięcia nauk humanistycznych pozostawiają daleko w tyle ideał sprawdzalności, nie możemy im odmówić znaczenia i miejsca na rynku publikacji, a ich twórcom należnego honorarium.

Naszkiecowany tu obraz literatury może się wydać tradycjonalistom barbarzyński. Ja jednak chciałem skrócić dystans nie tylko między literaturą wysoką, a obiegami niskimi, nazywanymi niekiedy rynkowymi, ale i między uprzedmiotowionym pismem, a innymi przedmiotami, których człowiek potrzebuje, które użytkuje i które kocha.